

Jacek Hołówka

NIEDYSKRECJA I MANIPULACJA

W magazynie ilustrowanym „Gazety Wyborczej” ukazał się niegdyś duży artykuł na temat depresji. Ciekawy, życzliwy i dobrze ilustrowany. U osób cierpiących na chroniczne przygnębienie wywoływał jednak zaostrzenie objawów. Depresja to choroba, która bardziej dokucza, jeśli się o niej pamięta. Chorzy radzą sobie z nią nieraz w taki sposób, że trochę ją przemilczają, trochę się z nią kryją. I tu nagle zobaczyli swą chorobę z całą wyrazistością. Przypomniano im, że nie są zdrowi, że takich jak oni jest więcej, że ich choroba jest destrukcyjna, ma niejasną etiologię i niepewną prognozę. W ten sposób schorzenie to zaatakowało ich z zewnątrz – jak jakaś klęska naturalna: ogromna, publiczna i bezkarnie.

Czy byłoby więc lepiej, gdyby taki artykuł w ogóle się nie ukazał? Nie można serio postawić takiego żądania. Nawrót lęku i frustracji mogą wywołać rozmaite przyczyny – skokowy wzrost inflacji, utrata pracy, nieporozumienie z przyjaciółmi itp. Takim faktem nie można zapobiec, nie można ich też ukryć. Nie można życia społecznego uporządkować w taki sposób, aby nigdy nie urazić nadwrażliwych, nie wywołać objawów u znerwicowanych i nie zranić delikatnych uczuć żadnej grupy społecznej – ludzi starych, schorowanych, bezrobotnych, byłych milicjantów, cudzoziemców, wyznawców ezoterycznych religii, kobiet w ciąży lub chorych nerwowo.

Niewinny świat dzieciennych marzeń pryska, gdy wchodzimy w dorosłe życie. A zresztą, nawet najwcześniejsze lata nie są całkiem pozbawione rozterki, gniewu na dorosłych i zwątpienia w przyszłość. Fikcja pełnego bezpieczeństwa i życzliwej troski otoczenia przemija z chwilą pójścia do szkoły albo nawet wcześniej. Od tego czasu trwała opiekuńczość ma posmak oszustwa, które skrywa przed nami prawdziwy obraz świata.

Szukamy więc prawdy, gdyż rozumiemy, że piękne złudzenia noszą piętno fałszu i prędzej czy później zmuszą nas do przykrej konfrontacji z rzeczywistością. Chcemy angażować się w realne kontakty z innymi ludźmi, choćby stały się

one ostre i rzeczowe, choćby im brakło elementów dekoracyjnych i uspokajających.

Kiedy więc naukowiec powinien się powstrzymać przed wypowiedzeniem pełnej, poznanej przez siebie prawdy? W zasadzie nigdy. Tylko wtedy – jak sądzę – gdy jest to prawda trywialna, więc poznawczo jałowa, a do tego dotyczy błahego przypadku i jest wyraźnie szkodliwa dla zainteresowanych osób. Innymi słowy, naukowca obowiązuje dyskrecja, tak jak każdego z nas i ona stanowi jedyne ograniczenie w głoszeniu prawdy – jeśli pominiemy specjalne zobowiązania, takie jak przestrzeganie praw klienta, zachowanie tajemnicy po złożeniu odpowiedniego zobowiązania itp. To są jednak kwestie marginalne i bodaj oczywiste. Nieoczywiste, choć słuszne, wydaje mi się twierdzenie, że naukowiec nie powinien się czuć związany takimi względami, jak ewentualne zgorzenie słuchaczy, rzekomo szkodliwe skutki naukowych odkryć, względ na istniejące uprzedzenia społeczne czy niebezpieczeństwo opacznej interpretacji ogłoszonych wyników.

Co uzasadnia ten pogląd? Powściągnięcie prawdy w nauce wydaje się niesprawiedliwione, gdyż sankcjonuje manipulację. Daje badaczowi rzekome prawo decydowania o tym, co społeczeństwo może wiedzieć, a co ma pozostać okryte tajemnicą. Taka postawa wyraża apriorycznie przekonanie, że dorosła większość składa się z ludzi nieodpowiedzialnych, niezdolnych do rozważnych reakcji. Zaleca traktować dorosłych jak dzieci, pozwala ich zwodzić w imię ich własnego dobra i chronić ich naiwne, choć błędne poglądy, by nie rozjuszyć jakichś ciemnych, nie dających się kontrolować sił. Taka wizja społeczeństwa jest samosprawdzającą się przepowiednią. Społeczeństwo uznawane za głupie i tak traktowane, chętnie – przynajmniej z początku – zachowuje się jak głupie. Społeczeństwo zmuszane do dostrzeżenia trudnych, lecz prawdziwych problemów może, co prawda, też zachowywać się głupio, ale przynajmniej ma szansę dowiedzieć się, że brak mu rozumu. To je zwykle oprzytamnia i skłania do bardziej racjonalnych i przyzwoitych reakcji.

Co ważniejsze, zatajenie prawd niewygodnych jest z zasady przedsięwzięciem nieskutecznym. Pobożne pragnienie ochrony małuczkich przed gorzkim smakiem prawdy zrywa zaufanie do nauczyciela. Nie odwraca uwagi w inną stronę. Świadczą o tym niezliczone przykłady. Można np. opóźnić edukację seksualną, działając wbrew oczekiwaniom adresatów, ale nie można jej zapobiec. Chorobliwa ostrożność sprawia, że odpowiednią naukę przekazuje nie ten, kto powinien, tylko jakiś przypadkowy amator uświadamiania. Nie ma przecież przypadków gorącego upodobania do celibatu wywołanego celowym zaszczepieniem niewinnej ignorancji seksualnej. Prawdę trudno ukryć, jeśli ktoś jej szuka. Lepiej więc powierzyć jej wykładnię ludziom kompetentnym, a nie przypadkowi i plotkom.

Możemy więc stwierdzić, że ograniczanie obiegu prawdy w imię użyteczności społecznej jest zabiegiem nieużytecznym. Nie jest też prawdą, że użyteczność jest

nadrzędnym kryterium wobec prawdy. Rozwój nauki nie jest nigdy wiązany względami na dobro moralne.

Odpowiedzialność za słowo jest problemem formy, nie treści. Naukowiec powinien mówić całą prawdę, bez względu na to, czy się ona komuś podoba, czy nie. Można postawić mu zarzut, że to, co ogłosił, było nieprecyzyjne, niejasne, nie przemyślane lub nierzetelne – jeśli rzeczywiście wypowiedział się tak niedbale lub nieostrożnie. Nie można natomiast zarzucać mu, że powiedział coś, co powinien przemilczeć. Byłoby to bowiem jednoznaczne z narzuceniem obowiązku manipulowania prawdą, ograniczania informacji w imię rzekomego dobra jednych ludzi i pomimo żądań innych, by prawdę tę ujawnić.

Czy naukowiec staje kiedykolwiek przed dylematem: ma mówić prawdę czy ją zataić? Sądzę, że tylko wówczas, gdy ociera się o granicę nauki i gdy dozowanie prawdy wiąże się nie z manipulacją, lecz z dyskrecją. Załóżmy, że ktoś chciałby ustalić, kto był pierwszym nosicielem HIV w Polsce. Prawdopodobnie można to w sposób naukowy stwierdzić. Trudno jednak przyjąć, że samo pytanie jest naukowe. Nawet jeśli tożsamość pierwszego nosiciela dałoby się ustalić, rozgłaszanie byłoby niedyskreją – byłoby szerzeniem prawdy trywialnej, dotyczącej prywatnego przypadku, bez konsekwencji ogólnych. Jeśli jednak epidemiologia stwierdzi, że wysoki odsetek nosicieli HIV znajduje się wśród homoseksualistów, narkomanów, mieszkańców Dominikany czy Nigerii – to taka prawda ma charakter statystyczny. Może być użyteczna dla ograniczenia zakażeń, a więc jest nietrywialna i powinna być ogłoszona. Mogą ponadto zachodzić przypadki pośrednie i wtedy nie wiadomo, jak należy postąpić. Dylemat się pojawia, gdy ktoś np. pyta, gdzie w Warszawie mieszkają rodziny zakażone chorobą. Tę informację można by uznać za wyłączną sprawę osób, których dotyczy, gdyby istniała pewność, że zakażeni sami zadbają o to, aby nie przenieść swej choroby na otoczenie. Tej pewności jednak nigdy nie ma, bo gdyby była osiągalna, AIDS przestałaby być chorobą zakaźną. Rozumiemy, że sami zagrożeni muszą strzec się przed zakażeniem, a to znaczy, że muszą dysponować odpowiednimi informacjami. Pozostaje kwestia, komu mówić i ile, lecz to nie jest sprawa do ogólnego rozstrzygnięcia; tu decydują względy praktyczne. Ten ostatni dylemat nie dotyczący jednak swoistej odpowiedzialności za słowo ludzi nauki, lecz odpowiedzialności lekarza lub epidemiologa za dozowanie informacji w taki sposób, by z jednej strony chronić prawa pacjenta, a z drugiej – minimalizować prawdopodobieństwo rozszerzania się epidemii.

Wróćmy jeszcze do negatywnych skutków głoszenia prawdy. Podanie do wiadomości, kto jest nosicielem HIV, powoduje wzrost negatywnych i nietolerancyjnych postaw w stosunku do wskazanej grupy społecznej. Powstaje wtedy nowy problem – problem uprzedzenia i niechęci. Wydaje mi się bardzo ważne to, byśmy wiedzieli, że jest to właśnie nowy i osobny problem. Nie problem prawdy, problem nietolerancji. Nie należy ich mylić i nie wolno jednego zastępować drugim.

Z uprzedzeniami musimy sobie jakoś radzić. Powinniśmy przypominać, ilekroć jest to możliwe, że uprzedzenia są zawsze krzywdzące i niesprawiedliwe, że stosowanie odpowiedzialności zbiorowej to reakcja atawistyczna i haniebna, że zawsze – poza sytuacją bezpośredniego zagrożenia – lepiej borykać się z problemem nietolerancji niż z obskuranckimi pogłoskami i domysłami, np. takimi, że AIDS roznoszą komary, że komary głównie żyją w Komorowie.

Naukowiec musi więc wyraźnie wiedzieć, co jest twierdzeniem nauki, a co nie – co jest tylko jakąś prawdą pochodną, trywialną, plotkarską. Powinien się trzymać stwierdzeń nauki i dbać o rzetelność swych sądów. Wtedy nie musi myśleć o odpowiedzialności za słowo, ponieważ błędu otwartości popęlić w ogóle nie może. Taki błąd nie istnieje.